

Janusz Słomczyński

Wspomnienie Mińska z okresu dzieciństwa

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 23, 221-227

2015

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JANUSZ S Ł O M C Z Y Ń S K I

Wspomnienie Mińska z okresu dzieciństwa

Mam przed sobą ładnie wydaną książkę – twarda oprawa, staranna szata graficzna, liczne ilustracje, jednym słowem znajduję tu wszystko, co zachęca do poznania jej treści. Książka jest periodykiem z roku 2012 i nosi tytuł „Rocznik Mińskomazowiecki”. Czy znajdę tam echa dawnego życia miasteczka, w którym urodziłem się i spędziłem dzieciństwo, pierwszych dwanaście lat życia?

Przerzucam pieczołowicie poszczególne karty, aż w końcu znajduję to, co jest mi bliskie i budzi dawne wspomnienia. Artykuł Piotra Romaszuka pt. „Dom pod akacjami. Opowiadanie inspirowane życiem Kazimierza Wójcika – szewca z Mińska Mazowieckiego”.

Podwórko

Dom, o którym wspomina Piotr Romaszuk, i w którym mieszkał szewc Wójcik, był drewnianą oficyną na posesji państwa Żarnowskich. Ja mieszkałem w przyległym do posesji Żarnowskich domu należącym do sędziego Malczewskiego. Sąsiadujących posesji nie odgradzał żaden płot, a dla nas – dzieci, bardziej atrakcyjna była część podwórza będąca własnością państwa Żarnowskich. Wykorzystywaliśmy tę przestrzeń do różnorodnych zabaw i psot, które nie zawsze dobrze się dla nas kończyły. Z tych ostatnich przypominam sobie nasze zakusy na owoce z drzew pana Żarnowskiego. Najbardziej intrygowały nas dojrzałe gruszki. Niestety, olbrzymie drzewo gruszy rosło w nieodpowiednim miejscu, przed oknami domu Żarnowskich, i każda próba zbliżenia się do niego napotykała gwałtowną reakcję właściciela, i trzeba było szybko „dawać nogę”. Zdarzały się jeszcze kolejne próby, z innymi drzewami owocowymi, ale z reguły kończyły się niepowodzeniem. W ten sposób pan Żarnowski został naszym wrogiem numer jeden.

Najważniejsze, w pierwszych latach mojego dzieciństwa, było podwórko i jego najbliższe okolice. Podwórko to była wolność, wyzwolenie od dyscypliny domowej, zabawy w wojsko, bieganie na bosaka za piłką i jeszcze wiele innych zabaw. Wszystko to odbywało się w ograniczonej przestrzeni, jaką tworzyły tereny przydomowe posesji Malczewskiego i Żarnowskich.

W zabawach udział brali wyłącznie chłopcy. Bratanie się z dziewczynkami było ujmą dla naszego „honoru”. We wspomnianej oficynie mieszkała dziewczynka o imieniu Bogusia. Bogusia była bardzo nieśmiała i strachliwa. Zawsze trzymała się od nas z daleka. Wykorzy-

stując swoją przewagę dokuczaliśmy jej często i niegrzecznie. Na zawołanie: „Bogna kula leci” (były to już czasy okupacji), Bogusia trwożyła się i zmykała co sił w nogach, chroniąc się w domowych pieleszach. Jak się okazuje, Bogusia to babka autora wspomnień o szewcu Wójciku, Piotra Romaszuka. Z czasem przestrzeń naszych działań systematycznie rozrastała się poza obszar podwórka, by w latach 40. objąć całe miasto i dalsze jego okolice.

Okupacja

Szalejący terror hitlerowski niestety nie omijał Mińska Mazowieckiego. Jaki to miało wpływ na moją świadomość? Wojna wybuchła, kiedy miałem cztery i pół roku. Dlatego w pierwszym okresie okupacji nie rozumiałem jeszcze, co się wokół mnie dzieje. Strach przyszedł później. Zapamiętałem nocny nalot i wycie samolotów, następujące po nich wybuchy spadających gdzieś w pobliżu bomb. W naszym domu nie było warunków na bezpieczne schronienie, więc w przypadku alarmu wszyscy chroniliśmy się w piwnicy Żarnowskich. Do dzisiaj słyszę dramatyczne rozmowy i odmawiane nieustające Zdrowaśki kobiet siedzących pod ścianami piwnicy. Kiedy nad ranem opuściliśmy schronienie, ujrzelśmy rozsiane na polu, w pobliżu naszego domu, leje po zrzuconych bombach. Tym razem się udało.

Ogromny strach czuliśmy w najtragiczniejszym dla Mińska dniu z czasów okupacji. Gęste kłęby brązowego dymu unosiły się nad miastem nad zabudowaniami żydowskimi, dobiegały do nas odgłosy strzałów karabinowych i okrzyki mordowanych. Wtedy już wiedzieliśmy, co się stało. Byłem przerażony, gdy uzbrojony Ukraińiec wpadł do naszego mieszkania w pościgu za żydowskimi uciekinierami. A przecież ja byłem rudy i piegowaty... Sądziłem wtedy, że te cechy upodobniają mnie do dziecka żydowskiego. W czasie dokonywanego pogromu niektórym Żydom udało się zbiec na „naszą” stronę miasta i w ten sposób przedłużyć swoje życie o kilka chwil. Największe jednak wrażenie, którego nie mogę zapomnieć do dzisiaj, wywarł na mnie obraz biegnącego samotnie przed naszymi oknami, małego dziecka. Maluch wykrzykujący wśród przejmującego placzu tylko jedno, powtarzane słowo: „*Mamele, mamele...*”

Było na terenie Mińska szereg ciekawych miejsc, które w przestrzeni miasta uważałem za ważne, i które najczęściej odwiedzałem. Na przykład pałac Dernałowiczów z pięknym parkiem, kanałami, fosą i stawem, albo rzeczka Lipka i zbiornik wody przy cmentarzu, a także wreszcie szkoła mieszcząca się w pałacu, do której przez rok uczęszczałem.

Jednak spośród miejsc, które (poza domem i podwórkiem) odegrały najbardziej znaczącą rolę w moim dzieciństwie, i z którymi byłem związany emocjonalnie, muszę wymienić: „Górka”, „Pompkę” i „Bagno”.

„Górka”

Górka stanowiła dla mnie miejsce szczególne. Jej obszar obejmował pokryte lasem sosnowym wyniesienie terenu między ulicami Wronią (obecnie Rydza Śmigłego) i drogą piaszczystą od strony północnej i wschodniej. Od zachodu i południa sąsiadowały z „Górką” zabudowania posesji Żarnowskich wraz z polem uprawnym.

W okresie zimowym miejsce to było rajem dla okolicznej dzieciarni. Gdy spadł pierwszy śnieg, każdy z nas zabierał sanki i pędził na „Górkę”. Ja miałem ułatwione zadanie, ze względu na jej bliską odległość od domu. Droga na „Górkę” od naszej posesji prowadziła w prostej linii, najpierw alejką grabową, a następnie ścieżką, obok drewnianej oficyny i gruszy, o której zdążyłem już wspomnieć. Idąc od oficyny, wchodziło się do lasu, wówczas ścieżka rozpoczynała swój bieg w górę, by po dojściu do najwyższego punktu, spadać nagle w kierunku skarpy i niżej położonej drogi piaszczystej. Nie dochodząc do skarpy, ścieżka rozdzielała się w dwóch kierunkach. W kierunku północnym, do ulicy Wroniej oraz na południe, w kierunku figurki Matki Boskiej.

Obydwóch ścieżek używaliśmy zimą do zjeżdżania na sankach. Zjazd w kierunku Wroniej miał krótszą trasę i ostry spadek, co nadawało sankom duże prędkości. Kończył się on na jezdni, nie był więc bezpieczny. Natomiast zjazd w kierunku figurki był bardziej płaski, a czas przejazdu dłuższy. Z tych powodów większą popularnością cieszyła się trasa dłuższa – do figurki.

Ilość saneczkarzy powodowała tłok na miejscu startu i konieczność ustawiania się w kolejce. Saneczkowanie polegało na dwóch czynnościach, krótko trwającym zjeździe, a następnie zmuśnym wdrapywaniu się na miejsce startu. Czynność ta powtarzana była wielokrotnie, najczęściej do zmroku. A potem powrót do domu, suszenie ubrań i butów. I tak codziennie, aż do końca zimy. Taka była moja „Górka”.

Po wielu latach nieobecności, znowu jestem w Mińsku. Oczywiście pierwsze kroki kieruję na ulicę Wronią. Pierwsza myśl: czy moja „Górka” jeszcze istnieje? To co ujrzałem przeszło najsmutniejsze oczekiwania. Po „Górcie” nie zostało śladu. Jej teren splantowano, drzewa wycięto, a w miejscu naszych zabaw sterczą betonowe bloki. Zastanawiam się, czy była konieczna ta niszczycielska operacja, powodująca usunięcie ze środka miasta atrakcyjnego lasu i likwidacja miejsca uprawiania sportów zimowych przez młodzież? Czy nie było innych miejsc na nowe bloki? Czy decyzja o likwidacji „Górki” nie była pochopna?

„Pompka”

Tak nazywaliśmy miejsce naszych wypadów za miasto, nad rzeczkę Srebrną. Dlaczego Pompka i jej okolice przyciągały tylu mieszkańców Mińska? Historia „Pompki” jako miejsca rekreacji sięga czasów dwudziestolecia międzywojennego (a może i wcześniejszych), o czym dowiedziałem się od matki, która również jako młoda dziewczyna, często to miejsce odwiedzała. Tradycja wypadów do „Pompki” utrzymała się jeszcze przez kilka lat powojennych.

Co wpływało na to, że „Pompka” dla wielu była miejscem atrakcyjnym? Na pewno położenie nad wodą, piękna okolica roztaczających się wokół lasów, polana śródleśna umożliwiająca plażowanie oraz znajdujące się tu obiekty hydrotechniczne. Podstawowym celem funkcjonowania „Pompki” było zaopatrzenie w wodę mińskiej parowozowni. Rolę tę spełniały: budynek przepompowni wraz ze zbiornikiem wody oraz szereg urządzeń

towarzyszących, spośród których najważniejszymi były: próg betonowy dla spiętrzenia wody w rzece Srebrnej, ujęcie wody (przy progu) i skierowanie jej na ziemny zbiornik oraz niżej położona zastawka betonowa, służąca do piętrzenia wody w zbiorniku, umożliwiająca również opróżnienie zbiornika na przykład dla celów konserwacji. Woda ze zbiornika, poprzez pompę, kierowana była do rurociągu, biegnącego wzdłuż drogi zwanej przez wszystkich „Czarną Drogą” (miała żużlową nawierzchnię), trafiała następnie do wieży ciśnień, gdzie była pobierana poprzez podstawiane parowozy. Należy tu dodać, że w tym czasie istniała już kolejka elektryczna do Warszawy od (1938r .), jednak podstawą transportu kolejowego były parowozy.

Największą atrakcją dla dzieciarni było rozlewisko poniżej progu. Natomiast pobliska polana służyła jako miejsce plażowania i spotkań towarzyskich dla dorosłych. Życie „Pompki” zakończyło się z chwilą, gdy Mińsk otrzymał wodociąg i pobieranie wody z odległej Srebrnej stało się zbędne. Władze przestały interesować się obiektami i w krótkim czasie wszystkie urządzenia „Pompki” uległy zniszczeniu.

Dzisiejszy stan „Pompki” to przykład niefrasobliwości (lub czegoś więcej niż niefrasobliwości) w traktowaniu cennych historycznie obiektów. Bo niewątpliwie „Pompka” wymagała ochrony – ze względu chociażby na jej hydrotechniczne walory i historię tak ściśle związaną z życiem miasta.

Co dzisiaj z „Pompki” pozostało? Ruiny budynku przepompowni (pozostały zaledwie fragmenty ścian), suchy i zarośnięty zbiornik, zrujnowany próg z rozrzuconymi w dnie rzeki jego elementami betonowymi i resztki pozostałych urządzeń. Doprowadzenie urządzeń „Pompki” do takiego stanu, jaki mamy dzisiaj, oznacza pożegnanie się z nią na zawsze.

„Bagno”

„Bagnem” nazywano położone na zachodnich rubieżach Mińska rozlewisko o znacznej, bo wynoszącej kilka hektarów powierzchni. Nazwa ta nie miała nic wspólnego z rzeczywistością – wokół rozlewiska żadnych bagien nie było. Linia brzegowa była wyrazista, a teren w najbliższym sąsiedztwie lustra wody zachęcał do spacerów wzdłuż brzegu. Tereny wokół „Bagna” nie były zamieszkałe, a roztaczające się wokół pola ugorów sięgały daleko, aż do ulicy Warszawskiej. Obrazu całości otoczenia dopełniała wyniesiona, piaszczysta skarpa brzegu od strony południowej. Dno rozlewiska przy brzegu było czyste, w partiach głębszych zamulone, a powierzchnia wody pozbawiona roślinności.

Łowiliśmy tam kielbie i karasie. Prawdopodobnie żyły tam również i inne ryby, ale przy moim doświadczeniu wędkarskim nigdy nie udało się ich złowić. Moje wędkowanie polegało na staniu godzinami w wodzie, na bosaka, i trzymaniu kija w oczekiwaniu dopóki ryba nie „weźmie”. Wędkę stanowił kijek leszczyny, spławik robiłem sobie sam z korka od butelki lub pióra gęsiego, tylko żyłka i haczyk były ze sklepu. Gdy spławik zaczynał się zanurzać, był to sygnał, że ryba „bierze”. Po trzecim zanurzeniu spławika, wędka szła w górę, czasami wraz z kielbami.

Częste przyjazdy do Mińska stały się już tradycją. Tym razem postanowiłem odszukać miejsce moich wędkarskich wypraw. Wiedziałem, że dawne „Bagno” już nie istnieje. Czy chociaż będę w stanie ustalić, gdzie była woda? Ale i to okazało się niemożliwe. Wszędzie jezdnie, chodniki, nowe domy. Przestrzeń zajęta przez zabudowania daleko wykracza poza miejsca które nazywaliśmy „Bagnem”. Zrozumiałem, że „moje” Bagno to już tylko relikwium przeszłości.

Babcia

Moje pierwsze kroki do „Bagna” nie były samodzielne. Zawsze towarzyszyła mi w nich Babcia, która cierpliwie odsiadywała nad wodą godzinki, nawet nie protestując, że pora jest późna i czas na obiad. Babcia Słomczyńska była osobą bardzo mi oddaną i troskliwą. Zawsze pełna ciepła, dobroci i zatroskania sprawiała, że chwile spędzone z nią bardzo miło zaznaczyły się w mojej pamięci.

Nielatwe miała życie. Po stracie męża pozostała z trojgiem synów, z których najstarszy (mój ojciec) liczył zaledwie lat szesnaście. Nigdy nie śmiałem zapytać, jak w takich warunkach mogła wyżyć, a nawet wykształcić dzieci. Wiem tylko (od mojej matki), że w Wigilię Bożego Narodzenia, najstarszy syn poszedł na ryby, aby cokolwiek znalazło się na stole.

Mieszkała skromnie przy ulicy Okrzei, na górze drewnianego domu, w pojedynczej izdebce bez światła elektrycznego i wody. Kiedy ją odwiedzałem, już jako dorosły mężczyzna, przyjmowała mnie zawsze z radosnym uśmiechem i częstowała powidłami z własnoręcznie zbieranych borówek. Wiedziałem, że moja wizyta sprawia jej wielką przyjemność. Z czasem stawałem się coraz bardziej samodzielny i wreszcie nadszedł moment, kiedy Babcińska opieka przestała mi być potrzebna.

Kazik

Miejsce Babci zajął Kazik. Oczywiście nie jako opiekun, ale jako kolega i towarzysz wspólnych wypraw, nie tylko wędkarskich. Kazik Brewczyński odegrał ważną rolę w moim życiu. Miałem do tego czasu towarzyszy różnych zabaw, jak Marka Kubińskiego (dzięki któremu poznałem książki Walerego Przyborskiego – moją największą życiową pasję), Staśka Roguskiego, Tadzia Zawadkę i wielu innych. Ale te znajomości wynikały z bliskiego sąsiedztwa. Z Kazikiem sprawa miała się inaczej. To była, nie waham się tego powiedzieć, prawdziwa przyjaźń.

Kazika poznałem w nowo otwartej szkole przy ulicy Kopernika. Chodziliśmy do tej samej klasy. Od samego początku przypadliśmy sobie do gustu, a wspólne zainteresowania dopełniły reszty. Pochodził z bardzo biednej rodziny. Półsierota, mieszkał wraz z matką w drewnianej przybudówce domu przy ulicy Warszawskiej. Była to jedna izdebka bez podłogi i światła. Matka Kazika, zniszczona i zapadająca na zdrowiu staruszka, sprzątała ulice, i to musiało wystarczyć na życie. Przypuszczam, że nierzadko zaglądał tam głód.

Spotykaliśmy się codziennie. Zimą graliśmy w szachy, chodziliśmy na ślizgawki, polowaliśmy na wróble i inne ptaszki. Z ptaszkami, to była krótka historia. Któregoś dnia zostaliśmy zauważeni. W pobliskim domu ktoś otworzył okno i usłyszeliśmy słowa, które nam się należały. W reakcji na to Kazik natychmiast zniszczył swoją procę. Tak się zakończyły nasze polowania na ptaki. A latem oddawaliśmy się wyłącznie wędkowaniu. Celem wypraw było głównie „Bagno”, ale czasami wybieraliśmy się w inne miejsca, poza nasze miasteczko.

Wszystko się zakończyło wraz z moim opuszczeniem Mińska. Pamiętam jeszcze spotkanie przy szosie bielańskiej, gdy Kazik odbywał służbę w wojsku. Siedzieliśmy na skarpie przydrożnej. O czym rozmawialiśmy? Być może o dawnych wspólnych eskapadach na ryby czy ptaki. Rozmowa była krótka, Kazik spieszył się na zbiórkę. Nie mogłem wiedzieć, że wtedy widziałem go po raz ostatni. Później była jeszcze jedna próba spotkania. Kazik zjawił się niespodziewanie w Sopocie, ale nie zastał mnie w domu, i odjechał.

Odmienne światy, w jakich się znaleźliśmy, rozdzieliły nas na dobre. Było jeszcze kilka listów z okresu jego nauki w Technikum Geodezyjnym w Warszawie. I to wszystko.

W ciągu następnych lat coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że brak mi Kazika. Zastanawiałem się, co porabia, jak żyje, czy założył rodzinę. Postanowiłem wreszcie go odszukać, i jeśli to możliwe, odnowić naszą dawną przyjaźń. Dużo sobie obiecywałem po tym spotkaniu.

Kazik pracował w Radomiu jako geodeta. Po przybyciu do Radomia powiedziano mi, że Kazik nie żyje. Wiadomość o tej przedwczesnej śmierci dosłownie zwała mnie z nóg, skołatanе myśli nie dawały odpowiedzi... Dlaczego to zrobiłeś, dlaczego nie zaczekałeś na nasze spotkanie? A mogło być tak pięknie. Kaziu, gdziekolwiek teraz jesteś, wiedz o tym, że nasza młodzieńcza przyjaźń na zawsze zostanie w mojej pamięci.

Dom

„Mój” dom przy ulicy Wroniej nie był budynkiem okazałym, ale dla mnie był najważniejszy. Mieszkaliśmy na piętrze w dwóch pokojach z kuchnią. Większy pokój z wyjściem na balkon spełniał rolę salonu. Mniejszy, z oknem na posesję Żarnowskich, służył nam za sypialnię. Ubikacja znajdowała się na podwórzu, a wodę przynosiło się od sąsiada.

Rozwój urbanistyczny miasta, jaki nastąpił w kilka lat po moim opuszczeniu Mińska, polegał między innymi na likwidacji drewnianych domów. „Mój” dom był również drewniany i bałem się chwili, w której podzieli los tamtych. Kiedy zjawiałem się w Mińsku, pierwsze kroki kierowałem na ulicę Wronią. Zawsze z tym samym pytaniem: czy on jeszcze istnieje?

Siedzę na ławeczce po drugiej stronie ulicy i patrzę na „mój” dom. Balkonu już nie ma, część domu od strony ulicy zaśniana szpetny pawilon spożywczy, ale bryła budynku pozostała. Stoi nadal dumny, że oparł się siłom Czasu. Wyrwał na posterunku.

Wokół pole zniszczenia, wszystko co było, przestało istnieć, a on stoi nienaruszony do dziś. I oby stał jak najdłużej.

Przed frontem domu nie ma już klombów kwiatowych, i ogród bez naszego żółwika jakoś posmutniał... z tym żółwikiem to była niezwykła historia. Któregoś dnia ujrzelśmy na grządce warzywnej majestatycznie spacerującego żółwia. Jak się tam znalazł, pozostanie jego tajemnicą.

Żółwik szybko się z nami zaprzyjaźnił, a my z nim. Znosił cierpliwie wszystkie doznawane od nas uciążliwości, ale widocznie zawartość warzywnika była ważniejsza. Nigdy nie opuścił naszego ogrodu. Nadeszła jesień i ku naszej rozpaczy, żółwik zniknął bez śladu. Ze smutkiem trzeba było się z tym pogodzić. Jednak wraz z nadejściem wiosny, gdy przyroda w ogrodzie zaczęła budzić się do życia, ku naszej radości, żółwik się odnalazł. Nasza radość trwała do czasu, aż ktoś się nim zainteresował – i żółwik zniknął tym razem bezpowrotnie.

Mijają godziny, a ja wciąż na tej samej ławce obserwuję „mój” dom. Pozostało jeszcze trochę czasu do odjazdu pociągu. Z głębin świadomości wylaniają się coraz to nowe szczegóły, różne obrazy. Bo i czasy były szczególne, i nie zawsze szczęśliwe. Wojna, okupacja, obawa co przyniesie jutro, i jak wyżyć w panującej powszechnie biedzie.

A teraz wokół mnie rytm zupełnie innego miasta. Drewniane chałupy ustąpiły miejsca nowoczesnym blokom, piaszczysta ulica przed moim domem (gdzie wywijaliśmy na jasnym, czystym piasku figury zwane przez nas „orłami”), zastąpiona została asfaltem, po którym poruszają się setki samochodów. Jednak współczesny Mińsk nie robi na mnie większego wrażenia. Być może zdobycze cywilizacji stały się czymś naturalnym, z czym stykamy się na co dzień, nie zdając sobie sprawy, że kiedyś mogło być inaczej.

Dla mnie Mińsk to miasteczko szczególne. Miasteczko zabudowy drewnianej, ulic piaszczystych, albo pokrytych, „kocimi łbami”. Widoki małych, biednych żydowskich sklepików. To musiało odejść.

Gdy „mój” dom zniknie z powierzchni, wówczas zakończy się dla mnie pewna epoka, a wszystko co było, stanie się wyłącznie wspomnieniem czasów dawno minionych.

Sopot, grudzień 2014 r.